

Grzegorz Kasdepke

*ilustrowała Ewa Poklewska-Kocielińska*



ZEUS & SPÓŁKA

MITY  
DLA  
DZIECI



Grzegorz Kasdepke  
**Zeus & spółka**  
**Mity dla dzieci**

© by Grzegorz Kasdepke  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Ewa Poklewska-Koziello

Skład i korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie III**  
**w tej edycji**

**ISBN 978-83-7672-112-5**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2012  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

## POCZĄTKI BYWAJĄ TRUDNE

Fajnie jest mieć dużą rodzinę, ale nawet w najlepszych rodzinach zdarzają się czasami niesnaski. A już w rodzinie greckich bogów spory wybuchaly co i raz – szczególnie na początku istnienia świata! Zresztą nic dziwnego – czasy były nerwowe, wszędzie panował bałagan, nie ustalono jeszcze, kto jest kim i co jest czym. Wszystko należało dopiero uporządkować. No a wiadomo, że podczas robienia porządków zawsze znajdzie się jakiś powód do kłótni. Mało to razy sprzątając swój pokój, kłóciliście się z rodzicami? To teraz pomyślcie, że musicie uporządkować cały świat! Zgroza!

Nim jednak bogowie zabrali się do porządków, świat należało stworzyć. Bo na początku nie było nic! Czy też raczej – na początku nie było nic poza wielkim bałaganem. Z tego bałaganu – ni z gruchy, ni z pietruchy – wyłoniła się Gaja, matka ziemia. Musiała być porządnie zdziwiona swoim nagłym zaistnieniem – nie było jej i proszę, nagle jest! Postanowiła jednak zastanowić się nad tym kiedy





indziej – teraz nie było na to czasu. Bo Gaja, jak każda chyba matka, nie mogła znieść widoku panującego wokół bałaganu. Zakasała więc rękawy i wzięła się do roboty.

Najpierw stworzyła Uranosa – czyli gwiazdzone niebo, które miało odtąd otaczać i chronić matkę ziemię. Potem Pontosa – rozległe morze, które otuliło ją falującą pierzyną. Teraz, gdy była ich trójka, Gai



zrobiło się różniej – zawsze co trzy głowy, to nie jedna. Szczególnie Uranos przypadł jej do gustu; niedługo potem pobrali się i przez długi czas żyli ze sobą szczęśliwie. Mieli dwanaścioro dzieci zwanych później tytanami: sześć dziewczynek i sześciu chłopców, wśród nich był niejaki Kronos, najmłodszy z tytanów – bardzo ważna postać, jak się zaraz przekonacie. Urodziło się im też wiele przedziwnych bóstw morskich oraz takich, które mieszkają na wybrzeżach mórz i oceanów. Urodziły się im także przeraźliwe sturękie trojaczki, które niedługo potem miały stać się postrachem świata. Gaja powiła również trzech cyklopów – potężnych, sięgających chmur potworów, z których każdy miał tylko jedno oko na samym środku czoła.

Czyli, jak widzicie, była to całkiem liczna rodzinka. Jeżeli wziąć jeszcze pod uwagę, że i tytani wkrótce doczekali się dzieci, łatwo zrozumieć, że Gaja miała spore problemy z podliczeniem wszystkich swoich wnuków i prawnuków.





Niestety małżeństwo Gai i Uranosa zaczęło się psuć. Coraz częściej wybuchały między nimi kłótnie – szczególnie odkąd sturękie trojaczki rozszalały się po świecie, rycząc straszliwie, przesuwając góry i wychlapując wodę z oceanów.

– Tak dłużej być nie może! – grzmiał Uranos.

– Co chcesz, to jeszcze dzieci... – broniła ich Gaja.

Jednak gdy trojaczki zagroziły, że zbuntują się przeciw ojcu, rozżalony Uranos strącił je na samo dno Tartaru, krainy ciemności i śmierci – a potem przywalił wejście do niej potężnymi skałami. Nie było stamtąd ucieczki.

– Jak mogłeś?! – krzyknęła Gaja.

– Miałem czekać, aż zrzucą mnie z tronu? – warknął Uranos.

I na wszelki wypadek strącił do Tartaru także cyklopów – jakoś od początku nie polubił tych jednookich potworów.

Tego było już Gai za wiele! Zwołała wszystkich tytanów i poskarżyła się na okrucieństwo męża. Kronos, ulubieniec matki, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał jęki swego rodzeństwa.

Ojciec oszalał! Należało go pozbawić tronu, i to jak najszybciej! Jeszcze tej samej nocy najmłodszy z tytanów zakradł się do sypialni



Uranosa i zranił go otrzymanym od matki sierpem. Osłabionego boga nie było już trudno pokonać – po krótkiej walce Kronos zepchnął ojca w otchłanie Tartaru. Usłyszał jednak coś, czego miał nie zapomnieć już nigdy...

– Przeklęty synu! – wrzeszczał spadający w ciemność Uranos.  
– I ciebie kiedyś twój własny syn pozbawi tronu! Zobaczysz!

Na razie jednak nic nie zapowiadało, że klątwa ojca się spełni. Za zgodą Gai, jak i pozostałych tytanów, Kronos objął rządy nad światem. Trzeba przyznać, że rządził mądrze i sprawiedliwie – szczęśliwe nastąpiły dni dla ziemi. Nigdzie nie toczono walk, nigdzie nie było zbrodni, wojen, chorób... Przyroda, dotąd struchlała pod rządami okrutnego Uranosa, teraz rozwijała się bujnie, otoczona troskliwą opieką licznych bóstw i bóstwek.

I wydawało się, że ta szczęśliwość trwać już będzie przez wieki, ale niestety...

Kronos nie potrafił zapomnieć przekleństwa ojca.

– Teraz na mnie kolej – powtarzał często swojej żonie, Rei. – Następny w Tartarze będę ja.

Ale żeby przepowiednia Uranosa nie mogła się spełnić, postanowił wszystkie swe dzieci od razu po urodzeniu połykać!



Reja wpadła w rozpacz!

Zapłakana poszła do matki ziemi z prośbą o pomoc i wstawiennictwo. Lecz Gaja dobrze wiedziała, że żadne słowa nie wpłyną na postępowanie jej syna – władza odbiera rozum nawet bogom. A Reja tak bardzo chciała mieć potomstwo! Czuła zresztą, że już niedługo urodzi następne dziecko – czy i ono miało trafić do brzucha ponurego małżonka?!

Wspólnie wpadły na pewien pomysł.

Gdy dziecko miało już przyjść na świat, Reja owinęła w pieluszki kamień wielkości niemowlęcia, a potem podsunęła go Kronosowi, mówiąc, że oto jest ich nowy potomek.



Kłap! – i Kronos połknął kamień w całości. Nawet nie był zaskoczony, że dziecko jest twarde i ciężkie – w tych czasach rodziły się różne dziwne stworzenia, a już w rodzinach bogów to szczególnie – nic więc dziwnego, że Kronos nie domyślił się podstępu.

Uszczęśliwiona Reja czym prędzej wywiozła dziecko na wyspę o nazwie Kreta. Tu – ukryty w skalnej jaskini – miał wzrastać jej ukochany synek.

– Zaopiekujcie się nim, dobrze? – poprosiła nimfy górskie. – Ma na imię Zeus.



– Zeus... – wyszeptały nimfy. I poczuły, że przenika je drzenie. Bowiem stara przepowiednia mówiła, że takie właśnie imię będzie nosił przyszły władca świata, bóg bogów, król na Olimpie...

Zeus!

Na razie jednak Zeus niewiele różnił się od reszty dzieci. Robił kupę w majtki, co wieczór pyskował, że nie chce jeszcze spać, uwielbiał słodczyce. Była z nim masa uciechy – a nimfy górskie wkrótce szczerze pokochały tego nieznośnego smarkacza. Zresztą rzeczywiście dawał się lubić. Pałętał się po całej wyspie, zrywając kwiatki i ganiając motyle. Z góry czuwała nad nim matka, Reja. Z kolei tu, na dole, nie odstępowały go na krok nimfy i dobre duszki. Jako że jednak Reja wciąż obawiała się swego podejrzliwego męża, poprosiła dziewięciu kapłanów, aby stale tańczyli nieopodal jaskini, w której wzrastał jej synek. Mieli przy tym śpiewać hałaśliwie i głośno bić w bębny – a wszystko po to, żeby zagłuszyć płacz czy śmiech Zeusa.

Płynęły lata.

Zeus był coraz większy.

Włóczył się po łąkach w towarzystwie swojej ukochanej kozy Amaltei, która przez wszystkie te lata karmiła go mlekiem.

Cóż to w ogóle była za koza!

Wierna jak pies, mądra jak delfin, czujna jak sokół. Amaltea stała się powierniczką marzeń Zeusa, jego największym przyjacielem, jego najcierpliwszym słuchaczem. Nie odstępowała go na krok.

Któregoś razu Amaltea, zaczepiwszy rogiem o skałę, złamała go. Zeus podniósł róg z ziemi, napełnił go miodem, owocami, orzecha-



mi i innymi pysznościami, po czym oświadczył, że róg ten będzie od tej pory zwany rogiem obfitości. Każdy, kto go znajdzie, nie zna już nigdy głodu i biedy – albowiem róg, choćby nie wiadomo ile osób z niego jadło, zawsze w cudowny sposób napelni się smakołykami. A wszystko po to, aby imię Amaltea do końca świata wymawiano z szacunkiem i podziwem!

Zresztą nawet po śmierci Amaltea wiernie towarzyszyła Zeusowi. Z jej skóry przyszył władca świata zrobił cudowną tarczę, egidę, którą zabierał w każdy bój – żaden pocisk, miecz ani strzała, żadne ostrze nie były w stanie jej przebić!

Reja – rzadko, bo rzadko – odwiedzała jednak Zeusa. Nie mogła czynić tego częściej – Kronos w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej ponury i podejrzliwy. Lecz gdy tylko była okazja, Reja, obładowana prezentami, ruszała na spotkanie z synem. A że jej mały chłopczyk nie wiadomo kiedy stał się dużym chłopcem, potem zaś prawie że dorosłym młodzieńcem, Reja stwierdziła któregoś razu, że może mu już opowiedzieć tragiczne dzieje ich rodziny...

Zeus słuchał wstrząśnięty. Jak to?! Ojciec połykający własne dzieci?! Słyszał kto o takim bestialstwie?! Czuł, że narasta w nim gniew i chęć zemsty – czuł, że któregoś dnia będzie musiał zmierzyć się z Kronosem...

Zaczął więc trenować walkę mieczem i oszczepem. Ale szczególnie sprawnie posługiwał się piorunami! Ciskał nimi, jakby to były smukłe dzidy, a nie rozpalone do białości błyskawice – wkrótce doszedł do takiej wprawy, że z odległości stu kilometrów potrafił upolować krążącego nad kałużą komara!

Gdy Zeus poczuł, że jest już gotowy do zmierzenia się z ojcem, podsunął Rei pewien sprytny pomysł.

– Wsyp mu do zupy środek na wymioty – poradził.

– Po co? – zdziwiła się Reja.

– Zobaczysz... – mruknął Zeus.

Nie pytając o nic więcej, Reja wsypała do zupy Kronosa jakiś proszek. Kronos zjadł jedną łyżkę, drugą, trzecią i nagle...

– Co to za obrzydlistwo?! – wrzasnął łapiąc się za brzuch. Nim zdążył dobiec do ubikacji, chwyciły go mdłości, a zaraz potem – wstyd powiedzieć – zwymiotował!



A tu niespodzianka! Bo nie tylko zupełnie zwymiotował Kronos, ale i kamień owinięty w pieluszkę, jak również wszystkie połknięte do tej pory dzieci – dorosłe już i pełne żalu do ojca.

– Brać go! – rozkazał Zeus.

I rozgorzała straszliwa walka! Po stronie Kronosa stanęli wszyscy tytani, po stronie Zeusa zaś, prócz Rei, jego bracia i siostry, a także uwolnieni z mroków Tartaru sturęcy i cyklopi! Jakież to był bój! Dziesięć lat minęło, nim wreszcie zmagający się z sobą bogowie opadli z sił! Z coraz większym trudem ciskali w siebie głazami, coraz trudniej przychodziło im wymachiwanie mieczami!... Tylko niezmordowany Zeus wciąż z tą samą siłą i energią raził przeciwników piorunami. Najdłużej bronił się Kronos, ale i on wreszcie runął w otchłań Tartaru, a spadając przypomniał sobie przekleństwo ojca, Uranosa. Cóż, taki los...

Odtąd to Zeus miał rządzić światem. Wraz ze swoim rodzeństwem osiadł na szczycie góry Olimp i stamtąd władał wszystkimi i wszystkim. Oczywiście nie od razu zapanował spokój – zdarzały się i później walki między bogami. Ale niewiele zmieniły – to Zeus miał być panem tego świata!



# NASZ PRZYJACIEL PROMETEUSZ

Każde dziecko wie, że z piasku można ulepić różne fajne rzeczy. Rybki, kwiatuszki – co kto umie. A Prometeuszowi udało się kiedyś ulepić człowieka. Zresztą niejednego. No, ale Prometeusz był tytanem, czyli jednym z bogów – a jak wiadomo bogowie potrafią nie takie rzeczy. Poza tym ulepił tego człowieka nie z piasku, tylko z gliny. Może to była jakaś specjalna glina? Trudno powiedzieć... W każdym razie ulepił – i już!

Zapyta ktoś: „Po co lepić ludzi, skoro tylu ich na świecie?”. Ha, w tym rzecz, że wtedy żadnych ludzi nie było! Spustoszona ziemia ledwo jeszcze zipała po walkach bogów, którzy bili się tu o władzę.

Widok wymarłych, pustynnych terenów przygnębiał Prometeusza. Brakowało tu kogoś żywego. Brakowało człowieka. Prometeusz pochylił się więc nad kawałkiem gliny i zaczął lepić – ręce, nogi, głowę... Pracował niezamordowanie przez kilkanaście godzin, a gdy skończył, poprosił Atenę, boginię wiedzy i mądrości, aby tchnęła w te nieruchome ludzkie ciała życie. I tak właśnie powstał pierwszy człowiek.



Jednak ulepić człowieka to jedno, a nauczyć go żyć, to drugie. Na początku ludzie zupełnie nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Mieszkali w zimnych, ciemnych jaskiniach, jedli, co popadło, ciągle marzli, bo nie umieli uszyć sobie ubrań... Właściwie nic nie umieli. Nie znali żadnych narzędzi, nie wiedzieli, jak uprawiać ziemię ani jak budować domy, nie wpadli na pomysł, że można hodować zwierzęta... Tego wszystkiego musiał ich dopiero nauczyć Prometeusz. I nauczył. Trochę to trwało, ale nauczył. Wkrótce ludzie zaczęli żyć dostatnio i szczęśliwie. Niczego im nie brakowało, potrafili zmagać się z siłami przyrody i – rzecz jasna – byli Prometeuszowi ogromnie wdzięczni.

Zeus zgrzytał ze złości zębami. Przecież to on był władcą świata – a nie Prometeusz! Zwołał więc wszystkich ludzi i mówi im tak:

– Słuchajcie, zaopiekuję się wami, ale... – tu zawiesił głos – ale coś za coś. Będziecie składali mi ofiary.

– To znaczy? – zapytał ktoś niepewnie.

– No... – Zeus podrapał się po głowie. – Powiedzmy, że zabijając jakieś zwierzę, będziecie mi oddawali jego część.

Przysłuchujący się temu wszystkiemu Prometeusz uznał, że nie ma sensu wszczynać kolejnej walki z Zeusem. Najbardziej ucierpieliby na tym właśnie ludzie – a zależało mu na ich spokoju i bezpieczeństwie. Lepiej przechytrzyć złośliwe bóstwo... Poradził więc swym





podopiecznym, aby przyjęli warunki Zeusa. A on już zadba o to, by bogowie nie zażądali za swą opiekę zbyt wysokiej opłaty.

W dniu, w którym miała być złożona pierwsza ofiara, Prometeusz przyprowadził przed ołtarz dorodnego byka. Jego mięso, owinięte w skrwawioną skórę, złożył po jednej stronie ołtarza, a po drugiej – bycze wnętrzności i kości – przy czym okrył je tak pieczołowicie tłuszczem, że wyglądały jak najsmaczniejsze kęski.

Zeus spoglądał na nie łakomym wzrokiem.

– No dobra – powiedział zacierając z radości ręce. – Odtąd będziecie mi oddawali właśnie te tuściutkie kawałki. A resztę możecie sobie zostawić.

– Nie ma sprawy... – bąknął któryś z ludzi.

Jakaż była wściekłość władcy Olimpu, gdy zobaczył, co kryje się pod tłuszczem!







